

List do uczestników Zjazdu PTI

22 czerwca 1996 r.

Szanowni Koledzy!

Los zechciał, żeby data Zjazdu nałożyła się na termin mojego — od dawna zaplanowanego — wyjazdu do Londynu. Po raz pierwszy w historii Towarzystwa nie uczestniczę więc w tym ważnym wydarzeniu; moja strata!

Bardzo żałuję, że omija mnie okazja jednoczesnego spotkania wielu dobrych znajomych; żałuję też, że nie dane mi będzie przysłuchać się dyskusji. Być może pomogłaby mi ona pojąć, co dzieje się w naszym środowisku, które coraz mniej rozumiem; po części, zapewne, jest to sprawa wieku, ale — jak mniemam — nie tylko.

Odnoszę wrażenie, iż Towarzystwo nie odgrywa praktycznie żadnej roli: ani publicznej, ani w życiu swoich członków, że na dobrą sprawę nie jest nikomu potrzebne, że egzystuje trochę siłą bezwładu, a trochę ze względów sentymentalnych. Cześć i chwała tym, którzy czują do niego sentyment, ze zrozumiałych względów i ja go czuję — ale sam sentyment to za mało.

Kilkanaście lat temu, w zupełnie innej Polsce, łączył nas wspólny interes, walczyliśmy o coś i przeciwko czemuś. A że było tak zanim Towarzystwo stworzyło swoim członkom warunki do podjęcia działalności protogospodarczej, więc ten wspólny interes nie był li tylko merkantylny.

Naturalną kolejną rzeczą, ucywilizowanie stosunków gospodarczych w Rzeczypospolitej odjęło Towarzystwu — w zasadzie obcą mu i „na świecie” nieznaną — funkcję organizatora (i czynnego opiekuna) działalności gospodarczej członków PTI. Psychologia uczy, że uludą jest oczekiwać powszechnej wdzięczności i, rzeczywiście, praktyka potwierdza teorię: Towarzystwo nie cierpi na nadmiar objawów wdzięczności, czy choćby przywiązania, ze strony tych, którym ułatwiło start na nowej drodze życia.

Nie chodzi tu o wdzięczność wyrażaną dotacjami, choć trochę funduszy pewno by nie zawadziło. Chodzi o to, że stanąwszy na własnych nogach, zapomnieli o wspólnym interesie, jakim jest utrzymywanie i w miarę możliwości zwiększanie rangi profesji informatyka. Tego nie da się robić w pojedynkę, bo wszelkie indywidualne zabiegi w tej mierze, choćby z najuczciwszych wypływały pobudek, zawsze będą wyglądać na samochwalstwo, na wybieganie przed orkiestrę, albo na nieuczciwą konkurencję.

Wydaje się, że w codziennej krzątaninie koło tego, co daje na chlebuś z maselkiem, zmałała się dalsza perspektywa. A w niej nieuchronnie grozi rewolta klientów przeciw kramikarskiemu traktowaniu przez dostawców towarów informatycznych. I tak zdumiewająco już długo udaje się korzystać z zasady „widziały gały co brały”.

Płycizna relacji między „konsumentami” i „dostawcami” dóbr informatycznych grozi wyrugowaniem kramarzy przez firmy zdolne przedstawić pogłębioną ofertę usług, a przede wszystkim: ofertę kompleksowej opieki informatycznej. Do odpowiedzialnego złożenia takiej oferty trzeba, naturalnie, dysponować odpowiednim zapleczem technicznym, organizacyjnym i kapitałowym. Aby jednak taka oferta mogła być przyjęta, oferent musi legitymować się odpowiednim autorytetem, posiadać niezbędną gravitas zawodową. I tu jest pies pogrzebany. Nie trudno zamówić znakomite wizytówki, wydać koktajl promocyjny z udziałem długonogich hostess. Ale odpowiedniej powagi nie sposób zamówić ani kupić. Dla niej potrzebna jest dyskretna opinia środowiska, ugruntowana, rozważna, nie skora do zachwytów, nie zmieniająca się razem z pogodą. Opinia, o której wiadomo, że jest niezależna i nieprzekupna. Jednym słowem, opinia Towarzystwa.

Ale nikt nie będzie zwracać uwagi na opinię Towarzystwa słabego, którego dychawiczne funkcjonowanie zależy od dobrej woli kilku czy kilkunastu entuzjastów, którzy na pracę w nim kradną czas swoich chlebodawców lub rodzin.

Może nie jest jeszcze za późno by pojąć, że w Towarzystwo trzeba zainwestować czas i wysiłek, bo silne i dobrze widziane Towarzystwo będzie wkrótce potrzebne jako wiarogodny żyrant zawodowych weksli. Tu nie ma alternatywy: takim żyrantem nie będzie żadne inne ciało, ani tym bardziej żadna osoba fizyczna. Wydaje się, że mamy jeszcze nie roztrwoniony kapitał szacunku; trochę już pachnie on naftaliną, ale jest. Chłodna kalkulacja powinna przekonać, że tak jak mariaż z majątkowo podupadłym, ale świetnym rodem był prawie niezbędny do uzyskania społecznej wiarygodności nowych pieniędzy, tak samo niezbędne będzie oparcie się polskiej informatyki komercyjnej na opiniotwórczej powadze bytu o nieposzlakowanej opinii. Na naszym podwórku takim bytem jest tylko PTI.

Tygrysom polskiego rynku informatycznego pozostawiam wyciągnięcie wniosków praktycznych.

Drugą stroną medalu jest konieczna ochrona dziedziny przed hochsztaplerką i partactwem. Mieliliśmy kiedyś odwagę głośno oponować przed substandardowymi rozwiązaniami lansowanymi przez rząd PRL. Brakuje mi teraz stanowczej opinii PTI w sprawach nie mniejszej wagi, a podobnie źle rozwiązywanych. Zabrakło mi stanowiska PTI w sprawie struktury opłat za korzystanie z sieci, w sprawie sensowności tworzenia przyczółków Internetu w szkołach, brak mi naszego głosu na temat wymaganego minimum wiedzy i umiejętności uprawniających do prowadzenia państwowych szkoleń informatycznych. Za słaby był nasz głos w sprawie tworzenia wielkich publicznych systemów informatycznych. Źle się stało, że w sprawie stopni zawodowych daliśmy się sprowadzić do roli strony, rzekomo zabiegającej o jakieś własne przywileje. Nie potrafiliśmy przekonać opinii publicznej o konieczności ochrony przed działalnością kowbojów informatyki, a informatyków — o zaletach systematycznego i ukierunkowanego zwiększania kwalifikacji zawodowych. Obawiam się, że straciwszy inicjatywę, będziemy musieli poczekać aż nagromadzenie niedobrych (oby nie tragicznych!) doświadczeń stworzy lepszą atmosferę do ponowienia zabiegów w tej materii.

Długo i ze szkodą zaniedbywaliśmy klubowo-towarzyską stronę działalności Towarzystwa. Ale dziś, gdy wyrastamy już z wieku, w którym przystoi biegać w krótkich majtkach, warto chyba pomyśleć o zainauguowaniu takich działań, w tym także — a może przede wszystkim — działań z dostojną oprawą, które byłyby zauważalnymi wydarzeniami publicznymi.

Może warto, wzorem niektórych zagranicznych towarzystw, wprowadzić instytucję dorocznego obiadu PTI, na który zapraszalibyśmy kilka osobistości z pierwszych stron gazet, a jedną z nich prosilibyśmy o wygłoszenie mowy przy kawie. Zaproszenie kilku dziennikarzy uzupełniałoby działania propagandowe. Myślę, że w większych ośrodkach nie powinno być trudności z udziałem kilkudziesięciu członków, którzy — niestety — musieliby taką imprezę sfinansować. Może na takim właśnie obiedzie powinniśmy wręczać nagrody PTI.

Może warto zainicjować i objąć kierownictwo akcji podobnych do tych, którymi niegdyś zarabialiśmy na uznanie: charytatywnych z akcentem informatycznym. Naturalnie środki finansowe dla takich akcji trzeba pozyskać poza budżetem PTI.

Może trzeba powrócić do organizowania poważnych imprez popularyzujących informatykę, bo bardzo ich brakuje w powodzi reklam i promocji konkretnych produktów. Myślę, że nader obiecujący krąg tematyczny to styk informatyki i socjologii. W świadomości społecznej zaciera się już historyczna wiedza o roli PTI w zmaganiach o ochronę własności intelektualnej, nasz doprawdy pionierski trud nie przynosi takich profitów, oczywiście w kategoriach uznania, jakie są nam należne. Nadchodzi czas bojów o kształt polskiego prawa w zakresie ochrony prywatności. Było by źle, gdyby naszego głosu w tej sprawie zabrakło, albo gdybyśmy tylko przyłączyli do chóru.

Wszystkim uczestnikom Zjazdu życzę milego dnia, ciekawych obrad, rozsądnych decyzji i szczęśliwego powrotu do domu. Nowowwybranym Władzom PTI składam serdeczne gratulacje i życzę udanej kadencji!

Władysław M. Turski